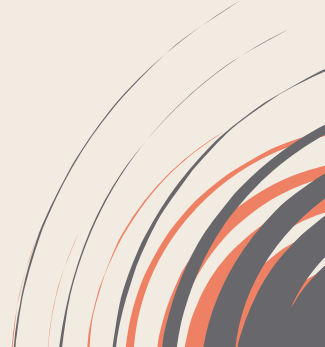




{moja brama
moja ulica
moje miasto

{wiersze
aleksandra
wilkonja

{List do
wnuków

{wydarzenia
kulturalne
luty'08

{mój
wyspiański





Andrzej Niczewski

Zapraszamy. Ul. Przechodnia 8, 2007 rok.

MOJA BRAMA
MOJA ULICA
MOJE MIASTO...



Damian Marszał

PRL – szkoda czasu. Mural i reklama na kamienicy przy skrzyżowaniu ulic Józefa Piłsudskiego i Jana III Sobieskiego, 2007 rok.

Robić zdjęcia swojemu miastu to trochę tak, jak fotografować bliską osobę. Trudno o obraz obiektywny, trudno o precyzję spojrzenia, nadmiar wiedzy stać się może trudnym do udźwignięcia balastem.

Ta bliskość rodzić może chęć ingerencji w to, co zastane. Chcemy upiększać, kreować, ubarwiać.

Lecz jednocześnie skupić uwagę na tym, co własne, stanowić może szansę na autorefleksję. To, co znajome, okazać się może czymś nowym, zaskakującym, świeżym...

Zdjęcia przysłane na konkurs „Moja brama, moja ulica, moje miasto” były właśnie takie. Pokazywały całe spektrum różnorodnych relacji z tym, co własne, zawierając w sobie nie tylko emocjonalną, ale i warsztatową panoramę postaw.

Nagradzając prace nadesłane na Konkurs, Jury starało się docenić nie tylko „uwagę” w dostrzeganiu tego, co interesujące w miejskiej przestrzeni Sosnowca, ale też autorską interpretację dostrzeżonych obrazów.

Zestaw prac, który otrzymał pierwszą nagrodę najlepiej spełnił te kryteria. Autorka z istniejących elementów skomponowała nowy obraz przedstawiając nam miasto w kreatywnym, współczesnym ujęciu.

Także w pozostałych, nagrodzonych fotografiach na uwagę zasługiwały: indywidualne spojrzenie, nienaganna kompozycja, czujność obserwacji.

Po raz kolejny przekonać się było można, że nie wystarczy po prostu wziąć aparat, stanąć i zrobić



I nagroda - Anna Szpakowicz

Kolor w mieście II.
Zielone światło dla miasta („Plaza”).
Kościelna – droga do nieba.
Kiedy ranne wstają zorze, 2007 r.

zdjęcie, tylko trzeba je najpierw „wymyślić”, stworzyć w swojej głowie, albo nawet „napisać” cały scenariusz. Jeśli wiemy, co chcemy pokazać, wtedy nawet jedna klatka może opowiedzieć nam całą prawdziwą, historię. Miejsca. Zdarzenia. Człowieka.

Katarzyna Łata-Wrona
Prezes Okręgu Śląskiego ZPAF

Kadry Sosnowca (niebieski, czerwony, zielony).

Dawni wciąż sławni w oknie. Zawsze... moje miasto. Po prostu – czysto i jasno (centrum), 2007 rok.





II nagroda - Bartosz Gacek

Po drugiej stronie lustra.
Podwórze przy ul. Kościelnej



III nagroda - Paweł Więclawek

Dzieciaki z ferajny. Podwórko na ul. Kilińskiego, 2007 rok.



Barbara Słonina

Wnętrze 1. Ul. Modrzejowska, 2007 rok.

SOSNART NUMER PIERWSZY

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta w Sosnowcu wspólnie z redakcją Kuriera Miejskiego postanowił wydawać dodatek do gazety samorządowej poświęcony sprawom kultury i sztuki. To właśnie SOSNART, którego pierwszy numer macie Państwo przed sobą. Dodatek będzie miesięcznikiem drukowanym w nakładzie 3 tysięcy.

Pomysł stworzenia tego typu dodatku jest odpowiedzią na nieustające od dziesięcioleci narzekania, że Sosnowiec i Zagłębie Dąbrowskie są rzekomo pustynią kulturalną. Nie czas teraz i miejsce na wdawanie się w dyskusje, ile w tym twierdzeniu nieprawdy podszytej niechęcią i niewiedzą, a ile rzeczywistych przyczyn uwarunkowanych historią. Zapewne nie raz przyjdzie wrócić do tego tematu, zapraszamy do dyskusji.

SOSNART pomyślany jest jako forum dla młodych artystów różnych dziedzin i dla młodych naukowców zajmujących się kulturą i historią. Przymiotnika „młodych” prosimy nie traktować dosłownie, nie chodzi o wiek, chodzi o świeżość spojrzenia. Chcemy na naszych łamach prezentować dokonania, poddawać je krytycznej analizie, inicjować dyskusje. Mimo ograniczonej objętości będziemy też starać się pokazywać dorobek, stan aktualny i zamierzenia instytucji kultury w mieście.

SOSNART nie bieżę się z niczego. Miał przed kilku laty swego poprzednika. Były dodatek nie istniał długo, ledwie trzy i pół roku regularnego ukazywania się, niemniej zdążył zapisać się w świadomości środowisk na tyle trwale i zakreślić na tyle szeroki krąg oddziaływania, że do dziś na adres „Kuriera”

dociera korespondencja z całego kraju. Fakt, że autorzy zabiegają o recenzje swych dzieł aż w Sosnowcu dobrze świadczy o poziomie naszej krytyki literackiej. W tym miejscu kłaniamy się, wszystkim, którzy niegdyś pisywali do „Kuriera”, aby nie pomijali SOSNARTU. Chcemy by nasze łamy były otwarte i choć z natury rzeczy musimy szczególnie akcent kłaść na miasto i region to przecież nie będziemy pomijać ciekawych zjawisk tylko dlatego, że autor się wyprowadził.

Pierwszy numer ze swej istoty jest zapowiedzią ledwie. Pokazujemy w nim plon niedawnego konkursu fotograficznego, prezentujemy małą próbkę poetyckich dokonań Aleksandra Wilkonia, wracamy na chwilę do minionego już Roku Stani-

stawa Wyspiańskiego. Niedawnej a bolesnej historii poświęcamy pamiętnik Maryli Landau - dziewczyny z Sosnowca.

Nie wolno nam zapominać o tych, którzy odchodzą. W ostatnich tygodniach pożegnaliśmy pisarza, malarza i muzyka. Przypominamy ich i ich dzieło. Będziemy to robić. Szczególnie ważna jest dla nas tradycja, z ciekawością i troską staramy się patrzeć w przyszłość.

Życząc wszystkim czytelnikom i sobie miłych wrażeń przy lekturze pierwszego numeru dziękujemy jednocześnie tym wszystkim, którzy decyzją, radą, życzliwością, wreszcie własnym piórem przyczynili się do zaistnienia Sosnartu.

Redakcja

Wyróżnienie - Mieczysław Wielomski

Tryptyk sosnowiecki „In minor...”



ALEKSANDER WILKOŃ

Jeszcze

Jeszcze przychodzą
te krótkie chwile radości
kiedy oddycha się lekko
i przychodzi zapach
wiśniowych ogrodów

Błysk twoich zielonych oczu
ze złotymi ognikami źrenic
sprawia
że stąпам lekko

i przypominam pewną primabalerinę
nadzwyczaj korpulentną
z którą tańczenie
było jak przesuwanie szafy
(gdańskiej)

Ta rozkoszna pani
czyniąc z ust karmelkowych
tubkę
śpiewała unosząc ramiona:
m o t y l k i e m j e s t e m j a...

Chwila utrwalona

Teresie

Wracałaś już porą zmierzchu
do hotelu, co stał się twym domem,
wracałaś po pracy,
w płaszczyku na szkocką kratę

z pochyloną głową
główką wenecką
z falą złotego spłotu
i tym patrzeniem spod rzęs
zielonych oczu

jeszcze idziesz
zamyślona
ku przeznaczeniu

ku tym wierszom
gdzie słowa
wpływają jak spłoszone łódki
w zatokę twoich dłoni

Komu będą potrzebne?

Komu będą potrzebne
te sny o strofie alcejskiej
i tęsknota za plażami Itaki
tak wytrwale tak wiernie
dającymi złudzenie spokoju?

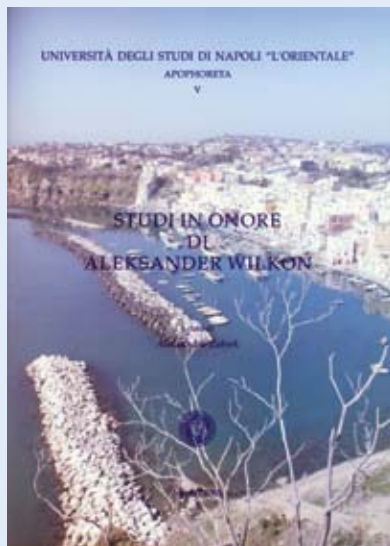
Komu potrzebny będzie
urok twej głowy weneckiej
i smukłość dłoni
unoszącej owoce południa
ku ustom spragnionym?



Aleksander Wilkoń
- od niedawna
emerytowany już
profesor Uniwersytetu
Jagiellońskiego i Uni-
wersytetu Śląskiego,
wykładowca w Nancy
i Paryżu (Sorbona). Od
1993 roku profesor zwy-
czajny filologii słowiań-
skiej na Uniwersytecie
w Neapolu. Językoznawca i historyk literatury
a prywatnie: poeta i malarz, miłośnik starych
miast polskich i włoskich, a także małej wioski
pod Wieliczką, której już nie ma. Sosnowiczanin
z wyboru i z przekonania, żywo zainteresowany
życiem kulturalnym i intelektualnym swego miasta.
Przed kilku laty, w niedysiejszym dodatku do
„Kuriera Miejskiego” zechciał opublikować kilka
swych wierszy i kilka felietonów.

Dziś proponujemy czytelnikom kolejne wiersze.

Autor nie należy do tych płodnych poetów, którym
wiersze wylatują spod pióra, jak spłoszone gołębie
spod pomnika Kiepury w Sosnowcu czy te, co to sobie
ulubiły Piazza San Marco w Wenecji. Długo waży każde
słowo, wers każdy starannie przemyśli i da na koniec
czytelnikowi dzieło doskonałe, starannie wyczelowane,
jak rokokowy portret damy na filizance z saskiej por-
celany. Jest przecież znawcą artystycznej polszczyzny



i miłośnikiem baroku.

Wydana w Neapolu książka „Studi in onore di Ale-
ksander Wilkoń” to tom będący zbiorem prac koleża-
nek i kolegów profesora Wilkońa z neapolitańskiego
uniwersytetu. Jest dobrą tradycją uniwersytecką w ten
sposób honorować jubilatów - profesorów.

Dokładne omówienie tomu w tym akurat miejscu
nie wydaje się konieczne. Dość napisać, że tom powstał
oczywiście w języku włoskim, choć każda z naukowych
rozpraw zakończona jest krótkim streszczeniem po
polsku. Książkę prezentujemy głównie jako ciekawostkę
i przykład, że nawet całkiem daleko od Sosnowca widać
jego mieszkańców.

(red)

Błękitny sonet

bratu

Jeśli krzyk jaskru uciszysz w popiele
i popiół wzbudzysz różową pianą,
to co otrzymasz? Maść jakąś szarą,
pot albo starość w przerażonym ciele.

Tak lekko muśnij czerwień albo zieleni,
ale po brzegach cień zostawiając,
by ledwie barwy i kształtu zostało,
jakby tu przebiegł po swych śladach jeleni.

Niech będzie błękit jak twój rysunek,
a nie jak niebo kiedy błękitnieje
i nie jak w słońcu oliwkowe cienie.

Niech będzie Laury lęk, gdy pocałunek
pierzchnie z ust twoich i zatruje
w fiołkach cyprysów jej ciało senne.

Mama Katz

przeżyła Oświęcim
z numerem pierwszych więźniów
pełna zamaszystej siły
przetrwiała

w jasny poranek
czerwca 1968 roku
poproszono ją
żeby zechciała opuścić kraj

nie mogła zabrać ze sobą tych
których karmiła
i którym kupowała ciepłe szaliki
w mroźne i głodne noce peerelu

zawsze pogodna
z dobrym słowem
i pełna wiary
że
w końcu dadzą jej żyć

Śmierć Wenecji

pamięci G. Herlinga-Grudzińskiego

Umiera w słońcu
w blasku frontowych kamienic
ubranych w białe koronki kolumn

wśród gołębi
które ulubiły sobie
Piazza San Marco

i co chwilę
wzbijają się w chmurę
jakby chciały na skrzydłach
miasto przenieść

w miejsce bezpieczne

Śmierć przychodzi powoli
z roku na rok
rozpina czarne peleryny
które wiszą nad miastem
jak mosty

Wenecja umiera
jak primabalerina
ukrywająca starość
pod różem szminki
i bielidłem pudru

Nitrogliceryna

Teresie

Nie mogę już czytać więcej
Powieści i wierszy

Sam nie wiem
Po co sam jeszcze piszę

Ale wiersz jest gliceryną
Uśmierza i wyrzuca ból
Gdy rosnąć zaczyna we mnie

I staje się chwilą wytnienia
Którą ofiaruję Tobie
Jak łzę
Jak słowo dobre na pożegnanie.

Muzeum

Nie mogę niczego wyrzucić
co wiąże się z Tobą,
chowam nawet kartki
z listą zakupów
lub proszę:
„kup mi kremik”
„wyślij mi artykuł”

Jestem kolekcjonerem twoich rzeczy,
bransoletek i pachnideł;
czasem ubieram twoje swetry
i jestem jak twój kostium
zawieszony w szafie
pełnej Ciebie

Mam już muzeum pamiątek;
jestem jego dozorcą i szefem
i chciałbym
aby
było to muzeum
najpiękniejszej kobiety świata

Tamta i Ta

Nie wiem, co tamta chciała powiedzieć,
Mówiąc, że go kocha...
Może myślała o kolii z czarnych pereł,
Którą miał jej ofiarować.

Ta mówiła: jestem z tobą,
Cicho, szeptem nieśmiałym,
Z którego spływał wyciszony smutek
Jak z dłoni ikony...

I szła za nim, dzień w dzień,
W mroczną szpitalną otchłań,
I szła jak własny cień,
Z pogodą w zielonych oczach.

ZDERZENIA POETYCKIE

Edyta Antoniak

Geneza

Pomysł organizowania imprez poetyckich „Zderzenia” ma długą genezę. W trakcie pisania pracy magisterskiej o poezji Sławomira Matusza zetknęłam się z publikacjami Piwnicy Literackiej „Remedium” w Sosnowcu, w której ów poeta debiutował. Publikacje te – dokładnie 10 tomików – stały się punktem wyjścia do pisania przeze mnie pracy doktorskiej o życiu literackim Sosnowca w latach 80-tych minionego wieku. Po rozmowach z poetami „Remedium” – Jerzym Suchankiem, Marianem Kisiem i Bogdanem Prejsem – zrodziła się idea, by zorganizować spotkanie literackie „Remedium po latach”. Pomysł jest na razie w fazie projektów, ale dzięki kontaktom z poetami, którzy wyrosli w Sosnowcu, postanowiłam ożywić dawne życie kulturalne miasta, stworzyć możliwość dyskusji, wymiany myśli jak niegdyś w Piwnicy Literackiej.

Perspektywy

Pomyślałam, że najlepiej zacząć „ożywiać” środowisko artystyczne miasta łącząc pokolenia, ale i przedstawicieli różnych dziedzin artystycznych. Musimy mieć przecież świadomość, że zmienił się sposób myślenia o kulturze, dzieło każdego artysty jest jak towar, nawet najlepszych trzeba teraz umieć dobrze sprzedać.

Idea

Impreza jak sama nazwa wskazuje ma „zderzać”. Ma mieć charakter quasi-pojedyneków, między poetami. Niemniej nie będzie to ani slam, ani zbieg poetycki. Poezja przeplata się z muzyką, na ścianach w Galerii Patelnia 36 (miejsce imprezy) wiszą prace plastyczne bądź fotografie, a głos decydujący podczas imprezy ma krytyk literacki - gość specjalny, arbiter.

Pierwsze „Zderzenia”

15 lutego o godzinie 18.00 w Galerii Patelnia 36 odbędą się pierwsze „Zderzenia”. Zaproszono na nie jako reprezentantów Zagłębia poetów Sławomira Matusza, Pawła Barańskiego i Patrycję Kaletę. Po stronie Śląska stanie troje poetów z Tarnowskich Gór - Andrzej Kanderz, Łukasz Loskot i Anna Krztoń. Oprawę muzyczną zapewni Patryk Filipowicz, który na ten wieczór przygotował niespodziankę. Gościem specjalnym będzie redaktor miesięcznika „Śląsk”, wybitny pisarz, poeta i tłumacz literatury węgierskiej – pan Feliks Netz.

Plany

„Zderzenia” w swych założeniach mają być cyklicznymi spotkaniami, na kwiecień już przygotowaniu skład poetycki z Łodzi, a na czerwiec chcemy zaprosić poetów z Gdańska. Zagłębiowskich poetów w kolejnych edycjach reprezentować będą m.in. Jerzy Suchanek, Wojciech Brzoska, Barbara Gruszka-Zych, Jerzy Lucjan Woźniak, Dawid Markiewicz, Joanna Storczevska-Segieta, Ilona Kula, Krystyna Borkowska i inni.



(anim)

Organizatorem „Zderzeń poetyckich” są:

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Sosnowcu,
Miejska Biblioteka Publiczna w Sosnowcu oraz
Pub&Galeria Patelnia 36

POŻEGNANIE... JANUSZ DOMAGALIK



foto arch. MBP Zjazd Pisarzy Zagłębia 1997
Siedzą od lewej: Jerzy Przeździecki, Janusz Domagalik, Andrzej Torbus, w głębi Janusz Koniusz

27 grudnia odszedł Janusz Domagalik, jeden z najbardziej znanych i lubianych pisarzy o zagłębiowskim rodowodzie. Jeszcze niedawno świętował 70. urodziny i nadanie mu tytułu Honorowego Obywatela Miasta Czeladzi. Z tym miastem łączyły go więzy szczególnie.

Tu 5 lipca 1931 przyszedł na świat w rodzinie od pokoleń związanej z Czeladzią. Dziad ze strony ojca, Jan, pracował jako maszynista wyciągowy w kopalni „Czeladź”. Ojciec, Bolesław Domagalik, był księgowym, zasłużonym dla rozwoju ruchu sportowego w Czeladzi. Aresztowany w 1941 r. za działalność w Związku Orła Białego, zginął rok później w Oświęcimiu. Dziadek ze strony matki, Romuald Herchold, to przed wojną naczelnik straży pożarnej i majster w kopalni „Saturn”.

Janusz Domagalik od 1938 uczęszczał do Szkoły Podstawowej w Czeladzi, a po wybuchu wojny kontynuował naukę na tajnych kompletach. W 1949 r. ukończył trzyletnie Liceum Ogólnokształcące im. M. Kopernika w Będzinie. Przez pewien czas studiował na Wydziale Dyplomatyczno-Konsularnym Akademii Nauk Politycznych w Warszawie.

Pierwsze próby literackie podejmował jeszcze jako dziecko, ale prawdziwa przygoda z literaturą, a także z dziennikarstwem rozpoczęła się w 1950 r., kiedy to nawiązał współpracę ze „Światem Młodych”. Opublikował tam swe pierwsze opowiadanie „Nasza Szturmowa”. W 1951 r. przeniósł się na studia polonistyczne do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Warszawie, gdzie uzyskał tytuł magistra filologii polskiej na podstawie pracy: Poezja dla dzieci młodszych w czasopiśmie „Świerszczyk”, „Iskierka”,

„Płomyczek” w latach 1950-1955.

W latach 1956-1968 był redaktorem naczelnym Pisma „Świata Młodych”. Pisuje reportaże będące pokłosiem podróży do Niemiec, Jugosławii, Węgier, ZSRR. Pojawiają się następne utwory literackie, m. in.: cykl opowieści „Niesamowite przygody Pikusia Konopki” (1958-1959), opowiadanie „Męska sprawa” (1961), „Skarb” (1961), „Banda Rudego” (1962), opowiadanie „Pieska moja niebieska” (1964), nagrodzone w konkursie wydawnictwa „Horyzonty”. W 1966 r. podjął współpracę z telewizją, pisząc scenariusze widowisk telewizyjnych. Wiele z nich zostaje nagrodzonych, m. in. widowisko Anka, w reżyserii Ryszarda Hanina. W 1966 roku ukazała się drukiem jedna z najpopularniejszych powieści dla młodzieży „Koniec wakacji”, której bohaterami są młodzi ludzie przeżywający swoje niezwykle przygody i pierwsze uniesienia miłosne, ale też rozterki związane z trudnym okresem dojrzewania i rozpadającą się rodziną. Postać Jurka ma wiele cech autobiograficznych pisarza, a opisywane miejsca i nazwy przywodzą na myśl rodzinne miasto autora. Utwór został przetłumaczony na kilka języków i otrzymał wiele nagród, m. in. Austriacką Nagrodę Państwową za najlepszą powieść młodzieżową w 1971, a w 1974 został wpisany na Listę Honorową im. Hansa Christiana Andersena. Doczekał się także ekranizacji w reżyserii Stanisława Jędryki. Film nagrodzono na festiwalach w Poznaniu, Moskwie i Teheranie. Dużym zainteresowaniem cieszyły się również opowiadania z tomu „Księżniczka i chłopcy”, opowieść o „Detektywie Konopce”, czy wydane w serii „Portrety” mini-powieści „Marek i Irmina”.

W 1968 Janusz Domagalik rozstał się z redakcją

„Świata Młodych”. Został redaktorem naczelnym Redakcji Programów dla Dzieci i Młodzieży Polskiego Radia oraz członkiem Związku Literatów Polskich (od 1983 w Zarządzie Głównym). Przygotowuje dla słuchaczy głównie adaptacje swoich utworów, jak np.: „Idąc do siebie”, „Szczeniak”, „Chłopcy od Rudego”, „Skarb Szeryfa”, „Koniec wakacji”. W latach 1982-1984 był współautorem scenariusza powieści radiowej Matysiakowie.

W 1977 r. „Horyzonty” wydają „Zielone kasztany”. Powieść, będąca rozwinięciem wątków znanych z „Marka i Irminy”, cieszy się uznaniem wśród młodych czytelników i krytyków. Austriackie Ministerstwo Oświaty i Sztuki przyznało autorowi nagrodę za najlepszą książkę dla młodzieży, przetłumaczoną na język niemiecki w Austrii w 1980 r. W 1986 r. powstała ekranizacja powieści w reżyserii Wojciecha Fiwka.

W listopadzie 1980 r. Janusz Domagalik został redaktorem naczelnym Programu III Polskiego Radia. Funkcję tę pełnił do dnia ogłoszenia stanu wojennego.

Pisywał nie tylko słuchowiska dla dzieci, także dla dorosłych, np. „Andante con speranza” (adaptacja filmowa pt. „Kolega Pana Boga”, zrealizowana przez Telewizję Polską w reżyserii Wojciecha Brzozowicza w 1988). W tymże roku telewizja emitowała serial w reżyserii Stanisława Jędryki pt. „Banda Rudego Pajaka”, oparty na motywach powieści Domagalika.

W 1990 r. pisarz przeszedł na emeryturę, ale jego twórczość funkcjonuje nadal w obiegu społecznym. Niesłabnącym zainteresowaniem cieszą się zwłaszcza powieści i opowiadania dla młodzieży. O tym, że młodzież wysoko ceni jego twórczość dowodzą nie tylko liczne wznowienia i przekłady jego utworów, „zaczytane” egzemplarze w bibliotekach, ale także nagrody, jakie otrzymał: Order Uśmiechu (1977), czy Orle Pióro (1980).

Janusz Domagalik pamiętał o swych korzeniach. Utrzymywał stałe kontakty z rodzinnym miastem, z tamtejszą Miejską Biblioteką Publiczną i Stowarzyszeniem Miłośników Czeladzi, które w 2001 r. nadało mu tytuł Honorowego Członka. Przyjacielskie więzy łączyły go także z sosnowiecką księżniczką. Chętnie uczestniczył w organizowanych przez te instytucje Zjazdach Pisarzy Zagłębiowskich i spotkaniach literackich.

Janusza Domagalika nie ma już wśród żywych, ale pozostały jego książki, które – jak wyznał w jednym z wywiadów – młody czytelnik potrzebuje, bo „młodzi ludzie boją się świata i życia”, a dobra, mądra książka, pomaga im ten świat zrozumieć. Autor chciał, by przesłaniem jego twórczości była myśl: „Siły trzeba szukać w sobie, bo czego nie znajdziesz w sobie – nie znajdziesz nigdzie”.

Małgorzata Toczowska

POŻEGNANIE... ZDZISŁAW LACHUR

„Trwaj w życiu pewnie, jak skała w morzu :
niewzruszona i nie poddająca się
bijącym o nią falom „„

Hazrat Inayat Khan



Taką skałą był właśnie Zdzisław Lachur, wspinały polski malarz, jeden z najwybitniejszych XX wieku. Tym bliższy dla nas im bardziej uświadamimy sobie sens i problematykę jego twórczości.

Urodził się 14 lipca 1920 roku, w Zagórzcu dziś Sosnowiec. Swe życie całkowicie poświęcił sztuce. Talent szlifował na Akademii Sztuk Pięknych, był również założycielem pierwszej w Polsce wytwórni filmów animowanych w Bielsku Białej, także jej dyrektorem. Przede wszystkim wraz z innymi artystami, którzy prezentowali swoje dzieła w Warszawskim „Arsenale” w 1955 roku, stał się prekursorem sztuki zrywającej z socrealizmem. Był artystą niesamowicie wrażliwym na otaczającą go rzeczywistość, toteż odważnie brnął w tematykę drażliwą, przybierając postać Artysty-Mentora, ucząc nas własną twórczością. Swoją artystyczną działalność rozpoczął cyklem prac o tematyce Holocaustu, wizualizując często Getto Warszawskie -swe wizje, opierające się na cokołe własnych doświadczeń. Następnie stworzył serię obrazów zatytułowanych „Judaica”, w których przeważają portrety brodatych Żydów, a także kompozycje wielopostaciowe, wzbogacone o elementy o charakterze religijnym, a także symbole, które widać również w kolejnym cyklu „Konie”.

Malował głównie temperą na desce lub płycie, a jego styl można by śmiało porównać do malarstwa bizantyjskiego, przepełnionego wizerunkami postaci świętych, o pociągłych twarzach i dużych wyrazistych oczach, co widać również w cyklu „Chrystus i Jego Rodzina.” Być może nie miał takiego zamiaru, a jednak jego prace zawsze chwytały za serce, przyciągały uwagę. Nie sposób przejść obojętnie obok niesamowicie zarysowanego, jakże głęboko i emocjonalnie świata, który widnieje przed nami. Za to my - Polacy, będziemy go wielbić.

To coś niebywałego, jak jeden artysta potrafi wypełnić swe dzieła mistyką, wzbogaconą o elementy oniryczności, oraz dynamiki, wręcz emanujące blaskiem. Widzimy smutne twarze starców obwiedzone aureolą („Mojżesz z cyklu Judaica”), potężne zwierzęta niczym wyrwane ze snu („Konie-Dęba”), a także

pełne ekspresji sceny walki i zagłady(„Getto” z cyklu Holocaust).

Twórczość Zdzisława Lachura można spotkać nie tylko na terenach Polski, ale również i za granicą. I to jest również dla nas powód do dumy.

Honorowany dwukrotnie - w 1961 roku nagrodą Ministra Kultury i Sztuki, za całokształt twórczości, a także w 1979 roku medalem Izraelskiego Instytutu Yad Vashem, za twórczość poświęconą narodowi żydowskiemu.

W ostatnich latach swego życia wycofał się z życia publicznego. Zmarł w Warszawie 29 grudnia 2007 roku, zostawiając po sobie artystyczne skarby godne zapamiętania.

Marta Świątek



Zdzisław Lachur
„Mojżesz”,

1989 (tempera, tektura),
Własność Muzeum w Sosnowcu



Władysław Pawelec. Urodzony w 1906 roku w Sosnowcu muzyk i kompozytor odszedł od nas w 101 roku życia. Żył wyjątkowo długo, wyjątkowo długo działał też w ZA i KS, w której to organizacji był najstarszym wiekiem i stażem działaczem.

Władysław Pawelec, młodszy o 4 lata od Jana Kiepury kolegował z wielkim śpiewakiem w tym samym gimnazjum. Wykształcenie muzyczne zdobywał w konserwatoriach w Katowicach i w Warszawie. Już wówczas, jako student zmuszony okolicznościami do zarobkowania, występował w warszawskich lokalach „Adrii” i „Bagateli”. Muzyka klezmerska stała się z czasem jego główną specjalnością. Z latami zyskał przydomek „króla polskich klezmerów”.

Uczestniczył w powstaniu warszawskim, skąd trafił po klęsce do obozu Gross Rosen w Litomierzyc. Po kuracji w Pradze wrócił do kraju, do Szczecina, gdzie był jednym z założycieli Filharmonii Szczecińskiej. Tam też związał się na długie lata z Polskim Radiem. W połowie lat pięćdziesiątych przeniósł się do Warszawy.

WŁADYSŁAW PAWELEC

Dorobek kompozytorski muzyki tanecznej i rozrywkowej Władysława Pawelca jest imponujący. Dziesiątki przebojów, które niegdyś nuciła cała Polska, dziś już nieco zapomniane, wyszły spod jego pióra. Próbował też komponowania dla filmu z kultowym „Rejsem” na czele. Współpracował z czołowymi orkiestrami i zespołami od orkiestry Stefana Rachonia i Jerzego Gerta przez jazzowy zespół Zygmunta Wicharego po „Tercet Egzotyczny” i orkiestry Feliksa Dzierżanowskiego i Karola Namysłowskiego. Najgłośniejszym w świecie przebojem Władysława Pawelca była niezapomniana „Mexikana”. Ta ognista rumba skomponowana przez Polaka weszła do repertuaru zespołów Ameryki Łacińskiej. Niebywałe.

Rodzinne miasto nie zapomniało o Władysławie Pawelcu. Na 98 urodziny muzyka staraniem Fundacji im. Jana Kiepury i Zespołu Szkół Muzycznych odbył się koncert poświęcony Jubilatowi. Podobnie na setne urodziny uroczystość uświetnił - tym razem w sali Klubu im. Jana Kiepury - syn jubilata wraz ze swoim zespołem. Niestety, w obu koncertach sam jubilat z racji wieku nie uczestniczył.

Odszedł na początku grudnia ubiegłego roku w Warszawie.

Janusz Osiński

LIST DO WNUKÓW...

Maryla Landau - Canny

Dotarł do moich rąk kilkudziesięciostronicowy rękopis pióra pani Maryli Landau. Są to wspomnienia dziecięcych lat spędzonych w Sosnowcu i wiosce pod Żarkami. Autorka nadała rękopisowi formę listu do wnuków, więc tekst jest bardzo rodzinny i osobisty. Ze względu na temat, na miejsce, którego dotyczy, a przede wszystkim na czas do którego się odnosi uznałem, że warto z jego treścią zapoznać szersze grono niż tylko, uroczych zapewne, wnuków autorki i kilku osób z najbliższej rodziny i przyjaciół. Uzyskałem od pani Maryli stosowne zezwolenie na publikację fragmentów.

To wstrząsająca lektura, jak wiele jej podobnych, ale tym razem - ponieważ nie była przeznaczona do publikacji - zyskuje dodatkowy walor. Jest całkowicie pozbawiona uogólnień, nie ocenia, nie sądzi, relacjonuje wydarzenia przywoływane co prawda z odległej już przeszłości, ale bez ubarwień i dodawanych po faktach komentarzy. Autorka pisze tak, jak zapamiętała. Często pomija - z naszego punktu widzenia istotne rzeczy, jak choćby dokładną topografię - ale przecież dla adresatów listu byłyby to sprawy mało ważne, albo zgoła niezrozumiałe. Adresatami są dzieci, musimy o tym pamiętać. Babcia pisze oględnie, zdaje się łagodzić co drastyczniejsze sceny, czasem wyraźnie unika opisu tych najbardziej przerażających, w żadnym razie nie epatuje grozą, a czasem nawet, choć temat mało do tego stosowny, pozwala sobie na pełen ciepła uśmiech.

Rzadko stawiałem przed koniecznością korekty językowej. Dokument powstał w języku polskim. Mimo niemal 60 lat, jakie upłynęły od czasu opuszczenia Polski przez autorkę, jej polszczyzna jest zadziwiająco świeża.

Cały tekst pozwoliłem sobie podzielić na trzy części nadając im tytuły: „Przerwane dzieciństwo”, „Getto” i „Na wsi pod lasem”.

Maryla Landau jest córką dość zamożnego sosnowieckiego kupca. We wczesnym dzieciństwie nie zaznała biedy. W latach szkolnych przyjaźniła się z moją starszą siostrą, stąd nasza znajomość. Mimo wieloletniego braku kontaktu Maryla i jej wojenna historia były często tematem rozmów i wspomnień.

toko

Wspomnienia mego dzieciństwa poświęcam pamięci:

Mojej matki Frani Landau, błogosławionej pamięci, zamordowanej przez Niemców w Oświęcimiu w roku 1944 r.

Mego ojca Israela Landau, błogosławionej pamięci, który dotarł do Izraela wraz z moim bratem i ze mną i gdzie zmarł w roku 1966.

Mego brata Ryśka (Dova) Landau, błogosławionej pamięci, który zmarł przedwcześnie w roku 1992.

Cioci Geni, czyli Genowefy Zapiór, błogosławionej pamięci, prawdziwej bohaterce, która z narażeniem życia ocaliła mego brata Ryśka, moją kuzynkę Halinkę oraz mnie.

Składam hołd ich pamięci.

PRZERWANE
DZIECIŃSTWO

Adam, Roy i Dana to moje ukochane wnuki. Adam skończył niedawno 9 lat. Zaprosił na swoje urodziny kolegów klasowych na pizza-party a potem jazda do Cinema-City na film o niedźwiedziu. Wszyscy mieli wielki ubaw.

A ja, wasza babcia, która była waszym szo-



ferem, wróciłam do domu, usiadłam w fotelu i próbowałam przypomnieć sobie gdzie byłam i co robiłam, kiedy sama miałam 9 lat. Przede wszystkim nie byłam w Izraelu, w Tel-Awiv. Byłam w Polsce, w Sosnowcu, gdzie się urodziłam

i mieszkalam. Waszym językiem macierzystym jest hebrajski a moim był polski. Dlaczego w takim razie moje wnuki urodziły się w Izraelu a nie w Polsce?

Jest na to odpowiedź, ale to należy do innego opowiadania. Teraz będziemy robić porównania między waszym dzieciństwem tutaj w Izraelu a moim tam w Polsce.

Urodziłam się zimą (w 1930 r. - przyp.red.), ale zima tutaj, w Izraelu a zima tam, w Polsce, to dwie zupełnie różne zimy. Tutaj jest chłodno, niekiedy pada deszcz, ale częściej świeci słońce, a niebo jest prawie zawsze niebieskie. Tam panuje ostry mróz, pada śnieg, rzeki pokrywają się warstwą lodu, niebo ma kolor ołowiu. Tam wystarczy pojechać autem lub pociągiem w góry i hop! już można jeździć na nartach, na łyżwach, na sankach. Tutaj można zimą chodzić na spacer bez parasola, można grać w piłkę, w tenisa lub golfa, ale żeby pojechać w góry na narty trzeba lecieć samolotem. (...) Gdy będą was uczyć geografii i będziecie już umieli czytać mapy, przekonacie się, że Tel-Awiv od Sosnowca dzieli wielka odległość.

Tam w dalekiej Polsce wasza babcia pamięta okres kiedy miała 5 lat i chodziła do freblówki (przedszkola - przyp. red.) Miałam tam koleżankę Tusię, która była piękna jak lalka. Miałam też kolegę Izi, który też był piękny jak obrazek. Bardzo kochałam Tusię, ale w Izi byłam zakochana. Problem polegał na tym, że Tusia też była zakochana w Izi. Kiedy cała freblówka szła parami na spacer do parku a miałam szczęście być parą z Izi i trzymać go za rękę, byłam w siódmym niebie. Ale gdy Tusia była jego partnerką, tłumaczyłam freblance, że boli mnie brzuch i nie szłam na spacer. Okazuje się, że mając 5 lat można już być zakochanym i zazdrosnym.

Pamiętam też, że gdy miałam 5 lat urodził się mój brat Rysiek. (...) Pamiętam również mój pierwszy dzień w szkole. Gdy nadeszła chwila rozstania z mamą było mi bardzo markotno, ale nie mogłam się nad sobą roztkliwiać, bo każdy mi mówił: ty już jesteś dorosłą panną, ty już idziesz do szkoły!

Do szkoły odprowadzała mnie niania, a gdy padał deszcz lub śnieg, jechałam dorożką. Prywatne auta były wówczas rzadkością. Po mieście poruszano się tramwajem lub dorożką. (...) Bardzo szybko oswoiłam się z nowym środowiskiem, szybko nauczyłam się czytać i rozmiłowałam się w książkach. W Sosnowcu były bogato wyposażone wypożyczalnie książek dla dzieci i dla dorosłych. W domu też mieliśmy dużo książek, dużo bajek z obrazkami i tygodników dla dzieci i młodzieży. (...) Znałam na pamięć całe strony, ponieważ ciągle wracałam do ulubionych opowiadań i bajek, które mnie nigdy nie nudziły. (...) I tak mijał szczęśliwy rok za rokiem, miałam już 9 lat a mój braciszek 4. Pewnego dnia gdy byłam już w trzeciej

klasie zjawiała się nowa nauczycielka i oznajmiła, że będzie nas uczyć czytać i pisać po hebrajsku. Po hebrajsku? Po co? Przecież nauczono mnie czytać i pisać po polsku, mieszkam w Polsce, dlaczego mnie męczą? Alfabet hebrajski, pisanie z prawa na lewo, obce słowa, wszystko przychodziło mi z trudem, więc poskarżyłam się w domu.

I wtedy dowiedziałam się, że jestem Żydówką, że hebrajski to język moich przodków, że daleko, za morzami, za górami jest kraj zwany Palestyną, że tam przed tysiącami lat mieszkali Żydzi a ich językiem był hebrajski. Że cała nasza rodzina wnet wyjedzie do Palestyny, dlatego trzeba się uczyć. Pokazano mi biało-niebieską puszkę z napisem K.K.L.

twarze dorosłych. Nie mogłam nie słyszeć urywków rozmów, w których często pojawiało się słowo wojna. (...) Mój dziewięcioletni mózg pracował intensywnie. Wojnę pojmowałam jako wielką przygodę, jako przedłużenie wakacji, jako ewentualność, że szkoły będą zamknięte. Ale z drugiej strony, jeżeli z powodu wojny nie wrócimy do domu, co stanie się z pianinem i rowerem? Te mieszane uczucia rowiwały się szybko i dramatycznie.

Nadszedł ostatni dzień wakacji. Wszystko mieliśmy spakowane, nazajutrz z rana mieliśmy wracać do domu. Ale nazajutrz rano obudził nas warkot samolotów, początkowo odległy ale szybko coraz bliższy i głośniejszy. Jak oniemiała patrzyliśmy na



Moja matka z roku 1939

Poniższe zdjęcie przenieśliśmy z getta

pod brzocho, pomimo surowego zakazu Rodziców.

do której stale wrzucano monety. Powiedziano mi, że oszczędności z puszek wysłać się do Palestyny, która jest pustynnym krajem i trzeba pomagać w jej rozwoju. Wysłuchałam całego przemówienia, ale tak na prawdę co innego miałam już w głowie. Zbliżały się wakacje i wyjazd na letnisko. (...)

Gdy nadszedł upragniony dzień, pod nasz dom podjechała ciężarówka. Rodzice z pomocą niani i tragarzy załadowali na nią pościel, odzież, garnki, książki i zabawki i auto ruszyło w stronę lasu, daleko na wieś na wakacje! Leżałam na górze pościeli, nad głową miałam niebo a w duszy raj. Rodzice obiecali mi po powrocie z wakacji dwa prezenty: pianino oraz damski, niklowany rower. Życie było piękne.

Czas upływał nam na zbieraniu grzybów, jagód, na kąpielach w rzece, na zabawach i śmiechu do zmierzchu. Wieczorami cała rodzina zasiadała do kolacji i wtedy, właśnie wtedy robiło się mniej radośnie. Nie mogły ujść mojej uwadze zachmurzone

samoloty a tatuś powiedział cicho: to Niemcy nas bombardują. Włączył radio.

Nikt nie wiedział co robić, czy zostać, wracać do domu, uciekać? Jeśli uciekać, to dokąd? Podczas dnia kryliśmy się po rowach i wykrotach, nocą jechaliśmy wynajętą furmanką przez płonące wsie i miasteczka. Setki, tysiące ludzi przemieszczało się w panice w różne strony. Nie bałam się. Pamiętam, że ta nocna włóczęga miała dla mnie posmak przygody. Rodzice z nami byli, troszczyli się o nas, uspakajali. Zmierzaliśmy w stronę Sosnowca a wędrownka nasza trwała tydzień. Po drodze zobaczyłam po raz pierwszy tank a w nim niemieckich żołnierzy w hełmach. Gdy wreszcie wróciliśmy do domu zrozumiałam, że nie będzie więcej szkoły ale też pianina ani roweru. Nie mogłam tylko przewidzieć, że nic już nie będzie tak jak było...

ciąg dalszy w następnym numerze

PEŁNO PUSTO

Karol Irzykowski stwierdził niegdyś, że „wszelka kultura pewnego dnia pokazuje swą smutną prawdę – prawdę przeladowanego, a pustego magazynu”. Po przeczytaniu „Pusto” – najnowszej książki poetyckiej Jerzego Suchanka – można prawie apokaliptycznie obwieścić, że ten dzień już nadszedł. *Słownik terminów literackich mieści kilka tysięcy haseł, a żadnego z nich nie można bezpiecznie użyć jako definicji gatunku, którym jest wspomniany utwór, a właściwie cykl krótkich utworów. Małe formy poetyckie, zaczynając od haiku, a na ograniczonej przez 160 znaków poezji smsów kończąc, nie są w stanie jednoznacznie określić, co tym razem stworzył poeta. Można by zaryzykować stwierdzenie, że jest to finezyjna, leksykalna zabawa we Władysława Kopalińskiego, który przecież zajmuje się symbolem, tradycją, kontekstem, powszedniością i wszystkim innym, co można powiedzieć o słowie. Suchanek nie traktuje jednak „Pusto” jako słownikowego hasła, analizuje jego obecność w kulturze, w zwykłym życiu, ale przede wszystkim traktuje jako „ja” liryczne. Pusto, choć pisane wielką literą, jest jak zero w matematyce. Niby nic nie znaczy, ale sam fakt, że stanowi początek, wyjście już budzi niepokój, rodzi pytania. Od tych zresztą, jak starożytny filozof, Suchanek rozpoczyna swą podróż przez historię Pusto. Jest to niesamowita opowieść, którą można przeczytać w ciągu dziesięciu minut, a jednocześnie kontemplować dłużej niż kolejne strony „Ulissesa” Jamesa Joyce’a. Każde sformułowanie przypomina coś, co już było, a jednocześnie wnosi nowe spojrzenie na istotę Pusto. Kartezjańskie „myślę, więc jestem” sparafrasowane na „Pusto, więc jestem” pozwala na przykład łączyć Pusto z Herbertowym Panem Cogito. Obaj są bowiem bohaterami cykli utworów pokazujących zawieszenie jednostki między pospolitością życia a kulturą wysoką. Szuflada, przepaść, supermarket, zestawione z Szekspirem, Antoine de Saint-Exupéry czy Arturem Rimbaud dają efekt przepychu, ale i przesytu. Ten nadmiar okazuje się być pustką, a może pustynią, której prawda rzuca na kolana, albo zapiera dech w piersiach. Na pewno jest grą związków frazeologicznych, konceptualnym majstersztykiem.

Pusto pyta, Pusto obserwuje, Pusto wspomina. Tyle tylko, że Pusto to nowy Archimedes, krzyczący: „Dajcie mi punkt oparcia, a wypełnię pusto”.

Pusto – bohater tych wierszy zdaje się mówić: Pan Cogito to mój starszy brat, razem bawiliśmy się w piaskownicy, czytaliśmy te same książki, a matka poezja czule się nami opiekuje, ojciec Apollo otoczył nas kobietami, a teraz mamy ten sam pieprzyk złośliwej ironii i niebieskie oczy wierzące w ludzi... Reszta nas różni, bo Pan Cogito podobny jest do rodziny ojca – pupilek wszystkich wujków i cioć z Olimpu, ja - od strony matki Poezji, dziś wreszcie mogę być łabędziem.

Pusto to literacki wnuk Pana Cogito... Nie ma przesłania, bo „za pusto”. Konceptem jednak wypełnia pustkę czytelnika i budzi skrajne emocje, od śmiechu, przez zastanowienie do przerażenia, że może Pusto to Ja.

Edyta Antoniak

*Jerzy Suchanek. Pusto Sosnowiec wyd. SimArt 2007

MÓJ WYSPIAŃSKI...

WŁODZIMIERZ WÓJCIK



Stanisław Wyspiański należy do najwspanialszych osobowości formujących polską kulturę. Jest naszym prawdziwym skarbem narodowym. Podobnie jak „Mazurek Dąbrowskiego”, jak serce Zygmunto-
wego dzwonu. Dla mnie zaś jest – równocześnie – bezcennym dobrem osobistym. Ten mój duchowy związek z twórcą Nocy Listopadowej rozpoczął się w 1937 roku na katowickim Rynku. Oto jako drobny pięciolatek stanąłem z moją ciotką przed gmachem, który zrobił na mnie piorunujące wrażenie. Z informacji mojej opiekunki dowiedziałem się, że jest to teatr Wyspiańskiego. Pojąłem to tak, że pan „Wyspiański” – jak to wówczas wymawiałem – jest właścicielem tego imponującego gmachu, które po latach jakoś mi zmalowało. O wiele później zrozumiałem i to, że katowicka wizyta odbyła się w trzydziestą rocznicę zgonu wielkiego dramaturga.

Wyspiański wkładał się w moją duszę najpierw jako fenomenalny plastyk. Na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych w naszych wiejsko-miejskich chatach łagiskich – w Zagłębiu – było rzeczą naturalną, było niemal normą umieszczanie na ścianach izb (zwłaszcza tych odświętnych) gazetowych reprodukcji portretów wielkich Polaków: Kościuszki, Piłsudskiego, Mickiewicza, Słowackiego, rzadziej już Krasińskiego. Pośród nich ważne miejsce zajmowały autoportrety i inne „malunki” – jak się mówiło – Stanisława Wyspiańskiego. Ten był najbardziej „swojski”. Dlaczego? Prosta odpowiedź. Te „malunkowe” jego nasturcje, malwy, kłosy żyta i owsa, kąkole, te chochoły, rozmaite zioła – po prostu były nam bliskie, bo stanowiły naturalny składnik naszego realnego, rzeczywistego, codziennego wiejskiego życia.

Nieco później wsączyła się we mnie Wyspiańskiego sztuka słowa objawiona przede wszystkim jego poezją. Na etażerkach wiejskich izb pełno było różnych, nieco zaczytanych antologii z wierszami patriotycznymi oraz tak zwanych wypisów z czasów szkolnych rodziców, ciotek, wujków, starszych kuzynów. Stąd płynęły wiersze, których uczyłem się na pamięć. Z tego wyłaniał się pejzaż Krakowa, Wisły, Wawelu. Tych symbolicznych miejsc nie znałem. Poznawałem je z sagi ojca, który jako żołnierz będący w służbie

czynnej w Krakowie przy ulicy Rajskiej, w roku 1927 odprowadzał prochy Juliusza Słowackiego na Wawel. Widoki Sukiennic, Kurzej Stopki, Domu Długosza jawiły się w tle pamiątkowych fotografii wycieczek szkolnych moich bliskich. Zagłębie od dziesięcioleci było zapatrzone na Kraków, ową „duchową stolicę Polski” – jak to określił tuż przed zgonem radny Rady Miasta Krakowa, Wyspiański.

Ta liryka rozjaśniała mojemu pokoleniu ciemną noc okupacji. Niestety polska szkoła pod rządami nazistów zredukowała całkowicie wychowanie patriotyczne. Nie na Polaków byliśmy uczeni, lecz na siłę roboczą. W „czasach pogardy” szybciej dorastaliśmy. W miesiącach letnich musieliśmy zbierać zioła dla przemysłu farmaceutycznego III Rzeszy. Zioła, ukochane od najwcześniejszych lat mego życia, miały moc ratunkową. Oto bowiem po wykonaniu „normy” sadowiliśmy się na jakiejś skarpie i o nic nie podejrzewaniu, pod kierunkiem naszych nauczycieli budowaliśmy w sobie Polskę i polskość. Szły gawędy o polskich królach, zabytkach przeszłości, szły recytacje Mickiewicza, Wyspiańskiego, Lenartowicza. Młodociani mieszkańcy Warszawy na „tygrysy, mieli wisi”, my w Zagłębiu teksty patriotycznych wierszy. W roku 1947 (znów rocznica – czterdziesta rocznica zgonu autora Nocy listopadowej) kończyłem siedmioklasową szkołę podstawową, wcześniej pod kierunkiem wychowawczyni wystawiając Warszawiankę, w której grałem postać Chłopickiego.

Od czasu rozpoczęcia w roku 1952 studiów polonistycznych na Wszechnicy Jagiellońskiej bezustannie chodziłem szlakiem Wyspiańskiego, wielokrotnie, z pasją okrążając podwawelskie miasto. Przysiadając na ławeczce przy Placu Wszystkich Świętych przepowiadałem sobie wiersz Pocięcho moja, ty książeczko mówiący o fascynacji poety słowem drukowanym i oświatą. To on na posiedzeniu Rady postulował, aby na korytarzach wszystkich szkół były wywieszone na stałe mapy całej Polski z uwidocznieniem Krakowa jako tego państwa stolicy historycznej. Z jego pomysłu zrodziła się praktyka przygotowywania przez artystów-scenografów osobnych dekoracji dla poszczególnych inscenizacji. Wyspiański-wizjoner postulował stworzenie na południowej ścianie Wzgórza Wawelskiego teatru na wolnym powietrzu. Teatru na wzór sceny starożytnej. Te marzenia wyraził w liryku I ciągle widzę ich twarze...

Mówię o tym, ponieważ na początku moich studiów polonistycznych w krakowskiej Wszechnicy uczęszczałem na zajęcia żywego słowa prowadzonych przez legendarnego profesora Ronarda Bujańskiego. Całymi tygodniami w sali 56 w Collegium Novum ćwiczyliśmy Wielką Improwizację Mickiewicza, ale i wiele czasu wymagała recytacja

Wyspiańskiego. Odpowiednie wypowiedzenie dwu słów „Więzy rwij!” wymagało wiele zachodu. Bujański był perfekcjonistą.

Wyspiańskim żyliśmy dyskutując z Kazimierzem Wyką o „legendzie i prawdzie” Wesela. Podziwialiśmy monografię Anieli Łempickiej. Zresztą tę piękną kobietę uwielbialiśmy i nazywaliśmy ją Rachelą. W latach siedemdziesiątych także rozmowy prowadziłyśmy w kręgu doktorantów Jana Nowakowskiego. Zawsze chodziło nam o kształt sztuki i o – Polskę, o tradycję, narodowe korzenie.

To wszystko przecież znajdowaliśmy w Wyspiańskim. Oto przykład. Jeden z wielu. W słynnym „Kazimierzu Wielkim” poeta wyklada swój pogląd na skomplikowaną problematykę budowania men-



Autor z synową Stanisława Wyspiańskiego

talności narodowej w ciągu stuleci istnienia Polski. Marzy o Polsce silnej, niepodległej, budującej własną osobowość nie na mitach i mrzonkach, ale na realnych podstawach woli, siły, czynu. Postulował przewyciężenie fascynacji grobami, zwrócenie się ku przyszłości, ku realnym kształtom życia:

Wielkości! komu nazwę twą przydano,
ten tęgich sił odżywia w sobie moce
i duszą trwa, wielokroć powołaną,
świecącą w długie narodowe noce;

Trzeba też powiedzieć, że wielkie formy dramatyczne Wyspiańskiego są wielokroć bogato inkrustowane żywiołem lirycznym. Tak więc ów w żywioł liryczny wkracza w dramaty pisarza. W „Wyzwoleniu” (1903) mamy na przykład cudowne, pełne szlachetnego żaru wypowiedzi w „modlitwie” Konrada:

Bożego narodzenia
ta noc jest dla nas święta.
Niech idą w zapomnienia
Niewoli gnuśne pęta.

Daj nam poczucie siły
i Polskę daj nam żywą,
by słowa się spełniły
nad ziemią tą szczęśliwą.

Jest tyle sił w narodzie,

jest tyle mnogo ludzi;
niechże w nie duch twój wstąpi
i śpiące niech pobudzi.

28 listopada 1957 roku piszący te słowa – jako młody absolwent polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego - zorganizował w XII Liceum Ogólnokształcącym imienia Marii Dąbrowskiej w Krakowie-Nowej Hucie uroczystości w pięćdziesiątą rocznicę śmierci twórcy Wesela. Czas szybko biegł... i oto 10 stycznia 2007 roku, w setną rocznicę zgonu „czwartego wieszczu”, w katowickim teatrze jego imienia, istniejącego od stu lat, odbyła się uroczysta ogólnopolska inauguracja uchwalonego przez polski Sejm „Roku Stanisława Wyspiańskiego”. Ten wielki twórca bezustannie był obecny na scenie katowickiej i sosnowieckiej; wedle zapowiedzi w bieżącym roku objawi się jeszcze w imponujących spektaklach. Jego obrazy gościły na licznych wystawach zagłębiowskiego i śląskiego regionu. Tegoroczne uroczystości zaszczyliła synowa poety, Leokadia Wyspiańska (wdowa po ostatnim synu autora Wesela Stanisławie – „Śpiący Staś”) oraz wnuczka Dorota Wyspiańska-Zapędowska. To właśnie dzięki osobie Leokadii, która była zainteresowana moimi lekturami poety, mogłem ze ścinków pamięci uformować niniejszą relację. To ona jest tą twórczą siłą sprawczą, że z Dorotą i jej synem Miłoszem wędrujemy po Polsce ze słowem o Wyspiańskim. Na trasie tej wędrowki jest – poza krakowskim centrum - Zabrze, Sosnowiec (wspaniała premiera Wyzwolenia), Katowice, Lublin, Nisko, Leżajsk, Przemyśl, Płock (bogate warsztaty i wspaniała konferencja w Płockiej Książnicy), Będzin. 30 listopada udaliśmy się do Kalwarii Zebrzydowskiej, którą Wyspiański-student wielokrotnie odwiedzał z „zieliarskim” szkicownikiem. Nasza trasa wiedzie przez duże centra i... małe miejscowości. To dosłownie pod przysłowiowe „strzechy” wkracza Wyspiański. Na przykład w małej (wiadomo) miejscowości powiatu będzińskiego, na Preczowie, leżącym nad Czarną Przemszą i nieopodal Pogorii, miałem w październiku tego roku spotkanie multimedialne o Wyspiańskim. Przyszły tłumy z wójttem Psar na czele...

Zaproszony wraz z Dorotą przez władze Krakowa byłem prawdziwie wzruszony przemawiając 28 listopada 2007 roku w Radzie Królewskiego Miasta, Radzie, której aktywnym członkiem był Czwarty Wieszcz narodowy polski. Referat swój kończyłem słowami: >>Unoszę wzrok ku chmurom, ku niebu i myślę: Ukochane prochy i błogosławione kosteczki zawarte w sarkofagach Wawelu i Skałki! Nie jesteście martwym truchłem. Życie bezustannie w naszych umysłach i w naszych... sercach. Bo przecież wiadomo: „Umierać musi, co ma żyć!”<<

GRUDZIEŃ 2007



W ostatnich tygodniach opuściły też prasę drukarską trzy publikacje firmowane przez Muzeum w Sosnowcu. Są to: „Rocznik Sosnowiecki 2006”, zbiorowa praca historyczna „Zagłębie Dąbrowskie zanim powstało” oraz kolejny tomik „Sosnowieckiego ABC” przygotowywany przez Małgorzatę Śmiałek.

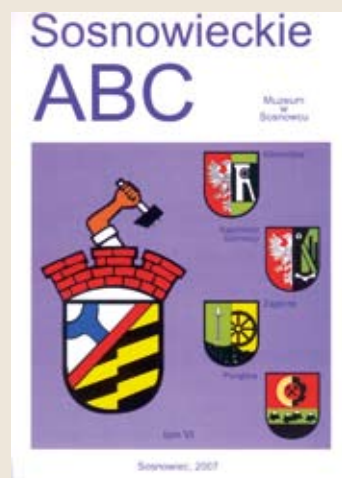
O „Roczniku Sosnowieckim 2006” wypada napisać, że ukazał się z dość znacznym opóźnieniem. Przyzwyczajono nas, że ukazuje się pod koniec pierwszego półrocza następnego roku, tymczasem musieliśmy czekać aż do grudnia. Nie znam przyczyn poślizgu, chcę wierzyć, że to z powodu szczególnie skomplikowanej materii, jakiej jest poświęcony. Rocznik w swej części „programowej” przynosi trudne w lekturze, ale przecież niezwykle ważne opracowania zagadnień fizyczno - geograficznych obszaru miasta oraz analizy ekonomiczno-społeczne w tym również demograficzne. Bez tej wiedzy wszelkie decyzje dotyczące rozwoju bytyby albo niemożliwe albo chybione. Chcemy wierzyć, że członkom zespołów decyzyjnych prezentowane w „Roczniku” zagadnienia są znane. Całość redagował tym razem prof. Andrzej T. Jankowski. Poza tym, jak zwykle „Rocznik” przynosi kronikę życia miasta za rok poprzedni, sylwetki laure-



atów Nagrody Miasta i sprawozdanie z działalności wydawcy, czyli Muzeum. Druga publikacja z racji tematu bliższa zainteresowaniom redakcji SOSNartu nosi podtytuł „Od pradziejów do końca XVIII wieku”.

To wszystko tłumaczy. Jest to tom czterech rozpraw historycznych: Aleksandry Rogaczewskiej Ziemie zagłębiowskie w pradziejach, Jerzego Rajmana Ziemie zagłębiowskie w średniowieczu, Jarosława Krajnińskiego Ziemie zagłębiowskie w czasach nowożytnych oraz Aleksandra Jaśkiewicza Zabytki sztuki. Redakcją całości zajął się prof. Jan Walczak.

Kolejny tomik „Sosnowieckiego ABC”, już VI, to ciąg dalszy wydawanego sukcesywnie encyklopedycznego przewodnika po mieście i jego historii poprzez ludzi



i miejsca. Niezastąpiona kopalnia wiedzy w możliwie krótkim, hasłowym ujęciu. Książki z serii to podstawowy podręcznik dziejów miasta niezbędny na półce każdego zainteresowanego tematem.

Wszystkie publikacje Muzeum są dostępne w siedzibie Instytucji oraz w Centrum Informacji Miejskiej przy Placu Stulecia. Gorąco polecamy.

toko

TOKOWISKO

MIEDZY TALENTEM A MANIA...

Tokowisko w tym miejscu, w pierwszym numerze SOSNartu, powinno zabrzmieć poważnie i uroczystie. Tak będzie - o ile, ma się rozumieć - felieton jako taki może być poważny i uroczysty. Spróbujmy.

Temat wybrałem ważny: zmorę redaktorów wszelkiej maści zwłaszcza tych, którzy „robią” w prasie artystycznej, literackiej. Tą zmorą są nieustające osobiste i korespondencyjne wizyty autorów, którym wydaje się, że właśnie ukończyli arcydzieło. Ma być opublikowane natychmiast, w odpowiednio eksponowanym miejscu, wiadoma rzecz, że bez skrótów i jakichkolwiek redaktorskich ingerencji. Autorzy płci obojga i wieku rozmaitego potrafią być twardzi i nieustępliwi, potrafią też docierać do wpływowych osób rzekomo władnych udzielić potężnej protekcji. Są zdecydowani, absolutnie przekonani do swych racji, wzruszeni treścią i zachwyceni formą swych dzieł. Powtórzę za mistrzem Kornelem Filipowiczem: *Jedną z właściwości dobrej literatury jest ta mianowicie, że autor, aby poruszyć czytelników - nie potrzebuje sam się wzruszać. Wystarczy zupełnie jeśli tylko dobrze wie, jak to się robi.* Niestety, przeważnie nie wie. I gadaj z takim.

Dobrze, jeśli autorem jest na przykład licealistka czy też student, w każdym razie osoba młoda - pójdzie w miarę gładko i wcale często się zdarza, że trudna i niemiła rozmowa procentuje na przyszłość wzajemną sympatią. Koszmar zaczyna się wtedy, gdy autorem okazuje się być osoba skądinąd znana i (z zupełnie innych powodów) ceniona, do tego ustosunkowana, gdzieś tam ważna i poważna. Na jakież to wyżyny taktu, dyplomacji, kluczenia i słodkich łgarstw trzeba się zdobyć, żeby autora nie urazić a dziełko - mimo wszystko - umieścić w koszu!

Znów podeprę się cytatem, tym razem zza oceanu. Charles Bukowski ujął to tak: *Jeśli człowiek musi karmić drugiego kłamstwami na temat jego talentu tylko dlatego, że siedzi naprzeciwko, staje się to najbardziej niewybaczalnym kłamstwem, ponieważ zachęca go do dalszej twórczości, a w ostatecznym rozrachunku, jest to najgorszy sposób zmarowania sobie życia przez człowieka pozbawionego talentu. Jednak wielu ludzi tak właśnie postępuje, zwłaszcza rodzina i przyjaciele.*

Rolą SOSNartu - obok wszystkich innych - jest mecenat rozrzucony nad młodymi, utalentowanymi ludźmi. W sieć wpadają różni, przebrać to towarzystwo, właściwie ocenić jest niezwykle trudno. Wybaczone więc, że czasem zdarzą się pomyłki. Aby zaś było ich mało, zanim zdecydujecie się przynieść, przysłać, podrzucić swe dziełka pochylcie się nad nimi raz jeszcze i z absolutną szczerością odpowiedzcie sobie na zasadnicze pytanie: czy nie ulegam manii?

Ponoć nie ma ludzi całkowicie pozbawionych talentów. Sztuka udanego życia polega na wczesnym i właściwym odkryciu, do czego mianowicie natura mnie sposobi. Jeśli to się uda, potem pójdzie już gładko, choć nie bez codziennej udręki i nieustannego znoju w zmaganiu się z materią tworzenia.

Takim oto, poważnym i uroczystym tekstem witam wszystkich potencjalnych współpracowników SOSNartu życząc im i sobie aby słowa felietonu wzięli do serca.

toko

SOSNart
Bezpłatny dodatek do Kuriera Miejskiego
Czasopisma Samorządowego Sosnowca
Wydawca: SCW Sosnowiecka Korporacja Wydawnicza Sp.z o.o.
ul. 3 Maja 22 41-200 Sosnowiec
tel. (032) 266 76 26 Fax (032) 266 42 59
redaktor prowadzący: Tomasz Kostro
projekt graficzny i skład : Ryszard Gęsikowski
Adres: ul. Małachowskiego 3 41-200 Sosnowiec
Wydział Kultury i Sztuki UM. tel.: (032) 296 06 47
email. redakcja@kuriermiejski.com.pl